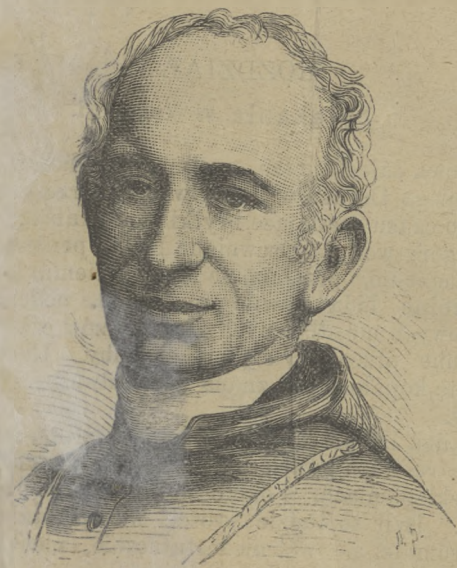


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Ojciec Ś-ty Leon XIII.

ILEUSZ.

na wiedzą już zapewne o uro-
ją chwili cały świat katolicki
kiem Chrystusowym. Jest to
aństwa Ojca Śgo Leona XIII.
tronach świata zamieszkali, je-
zeni, śpieszą złoty hold temu,

który jest zastępcą Zbawiciela na ziemi, więc przesyłają mu
dary rozliczne, ażeby wyrazić tym sposobem cześć swoje
Stolicy Apostolskiej. Oprócz katolików, wiele bardzo czo-
do innych wyznań należących, a zajmujących wysokie stano-
wiska, trony monarsze, przyłącza się do tej ogólnej, um-
czystej manifestacji. Nawet szach perski i Mikado japoński
nie dali się innym wyprzedzić. Niezmierna ilość darów, na-
chodzących ustawicznie ze wszystkich stron kuli ziemskiej,
nie mogła się pomieścić w salach Watykanu, musiano więc
urządzić w ogrodach osobne budynki, gdzie wszystko to będzie
na widok publiczny wystawione, następnie zaś utworzy pa-
kne muzeum.

Pomiędzy temi darami są niektóre, nie tylko bogate
i kosztowne, lecz bardzo osobiwe, widocznie wszędzie myśla-
no i przemyślano nad tem, aby ofiarować coś niezwykłego
i godnego uwagi. I tak naprzykład ze Strasburga przysła-
no kopią dokładną słynnego na świat cały katedralnego tan-
tejszego zegaru. Cacko to, mające jednak 3 metry wysoko-
wykonał wieśniak z okolic Strasburga. Miasto Dunkierki
wslawione niegdyś w wiekach średnich morskim handlem,
ofiarowało znów malutki okręciak dawniejszego kształtu,
sternie wyrobiony z blachy srebrnej. Neapol przysłał ws-
niałe krzesło złote, przedstawiające łódź Piotrową. W Szwaj-
nie wyrobiono przepyszny dywan biały z symbolicznemi, ko-
listemi deseniami.

Ze wszystkich krain misyjnych nadeszły przeróżne da-
ry, z miejscowych wyrobów i płodów złożone. Przelotny



1002114089

kongregacyi katolickiej w Shantai przesłał np. adres, podpisany przez 86 młodzieńców, prawdziwe arcydzieło sztuki chińskiej. Pisane to jest literami chińskimi na żółtym atłasie, ozdobione haftem złotym i różnobarwnym, teka z białego atlasu ma na wierzchu wyryty herb Papieża i kongregacyi, a wszystko razem zamknięte w przeslicznej skrzyneczce hebanowej.

Pięknych ornatów i ozdób kościelnych niepodobna byłoby zliczyć, pracowały nad nimi monarsze ręce, wspomnimy tylko, że i nasze polskie panie nie pozostały w tyle. Chciały one dowieść, iż nie zaginęła u nas tradycja przepysznych robót tego rodzaju, posłały więc między innymi z Poznańskiego jeden ornat, który jest wierną kopią własnoręcznej pracy królowej Jadwigi, przechowywanej w skarbcu Częstochowskim.

Fundusze, zebrane w całym świecie katolickim i ofiarowane na Mszę jubileuszową, Ojciec Ś ty przeznaczył na różne instytucje dobroczynne i naukowe, a większa część ornatów i ozdób kościelnych ma być rozesłana dla ubogich kościołów misyjnych.

Niezwykłą, lecz jakże piękną, rozrzewniającą ofiarę obmyślił biskup brazylijski z Olinda. Wzywa on mieszkańców tego kraju, którzy do dziś jeszcze posiadają niewolników, aby na pamiątkę jubileuszu Ojca Ś-go nieszczęśliwych tych obdarzyli wolnością i ostatecznie niewolnictwo znieśli; nazywa on to „ofiarami w ludziach”. Dar taki z pewnością najmilejszym będzie dla dostojnego Jubilata.

Biskup wychodzi z tej zasady, iż Ojciec Ś-ty w dniu swego jubileuszu ma ogłosić kanonizacją kilku świętych mężów, między innymi bł. Piotra Clavera, który przez długie lata był gorliwym obrońcą i opiekunem niewolników. Gro madzą się też w różnych krajach liczne pielgrzymki i dążą do Rzymu dla złożenia osobiście hołdu Ojcu Ś-mu, który wszystkich łaskawie przyjmuje i błogosławieństwa udziela.

Nie wszyscy zapewne mogą Ojcu Ś-temu składać hołdy w darach wspaniałych, lecz każdy katolik, nie wyłączając młodzieży, może i powinien wziąć udział w tej uroczystości, przesyłając do Boga gorącą modlitwę, aby Namiestnika swego na ziemi darzył zdrowiem i siłami, oraz łaską potrzebną do wypełnienia roztropnie i mądrze trudnych niezmiernie w tych czasach obowiązków głowy Kościoła.

TRZY POTĘGI.

Trzy są potęgi, w które ja wierzę,
Jako w podpory rozchwianych chat.
Dworców i wiosek są to puklerze,
Ludów w przyszłości trójca-żołnierze,
Wartości ludów trójca-probierze,
Ludów potęgi trójca-rodzice,
Grodów i chattek trzy budownice,
Słabych obrońce, sierot opieka,
Przyszłość dzieciątka, szczęście człowieka,
To rozum, praca i ład!

Praco wytrwała, praco zbiorowa,
Słabych żyjątek, co ze dna mierz,
Jako ławica raf koralowa,
Jako wapiennej skały osnowa;

Stara jak świat sam, a wiecznie nowa,
W ogrom wyrastasz łądów podstawy,
W podstawy ludzkich i trosk i sławy,
Ty nam przykładem bądź, praco cicha!
Ty przy spełnianiu życia kielicha
Świeć nam rozblaskiem nadziei róż.

* * *

Rozumie dzielny, ty, szczęścia ziarno,
Które narodom kwitniesz w kwiat praw,
Ty, bez którego praca jest marna,
I wrogi siewców plon ich zagarną,
I myśl utonie w gawędę gwarną;
Mieczu zwycięzców, siły pogromco,
Bez cię i serce jest wiarołomcą,
Ty, który mędrców wiedziesz ich drogą,
W gmachy przemieniasz chatę ubogą,
Ty nas twem światłem prowadź i zbaw!

* * *

Ładzie ty piękny, ty bóstwo stare,
Przyjmij ty od nas raz na ofiarę
Wszystko, co zamęt w nas rodzi;
Bo niema bez cię siły wśród ludzi,
I przez cię tylko piękno się budzi,
I rozum z szczęściem się godzi.

M. Ziel.

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieczniona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

przełożył z angielskiego

HENRYK WERNIĆ.

ROZDZIAŁ I.

Zbłąkanie w kopalni.

Grobową zaległa cisza w słynnej niedawno kopalni węgla kamiennego Dryden w Pensylwanii. Przerzywały ją tylko od czasu do czasu spadające bryłki ziemi, lub szelest przeciekającej z góry wody. Drewniane belki, podtrzymujące niegdyś jej sklepienie, przełamane leżą na ziemi, lub stały się twiałe, grożąc lada chwila upadkiem. Niemaz tu szczurów, owych nieodłącznych towarzyszków człowieka, wrz z nim w inne przeniosły się one siedziby. Rzadko kto do wspomina tę kopalnię, tak znaną przed dwudziestą laty w całej okolicy.

Na kilka lat przed ową epoką wrzała ona trybem, pełna w niej było ruchu i gwaru, huk oskardów i kół, biegł się po jej sklepieniach, a około 2500 ludzi wchodziło. Byli to lud bardzo skromnie, a nawet wadyacy, ale odważni.

W czasie, o którym mowa, pomiędzy robotnikami dzielnicy Lackawanna, nie podwyższając dzień dwóch tygodni, ale wódców, nie dosięgnęła się kopalnia. Kunastu starszych i przebiegłości i wymowa górników w Dry

do zawieszania pracy. Niebawem też zaczęli wychodzić grzami pracujący tam górnicy, zabierając ze sobą narzędzia na ręk. — Zazajutrz nie stawia się do pracy.

Pomiędzy temi grupami odznaczała się szczególnie jedna, której członkowie prowadzili ze sobą bardzo ożywioną rozmowę. Większa jej część składała się przeważnie z obcych przybyszów, namawiających do zmywy. Ludzie, należący do tej grupy, postępowali jeden za drugim długim korytarzem po obu stronach toru kolei żelaznej, którą wyłożono węgiel z kopalni. Na końcu tego korytarza wznosiły się wrota, zamykane za każdym wozem i każdym człowiekiem, a przy nich stał mały chłopiec, którego obowiązkiem było otwierać je i zamykać.

Kiedy postępująca grupa zbliżyła się do wrot, chłopczyna, pełniący obowiązki odźwiernego, otworzył je i dopóty ręką przytrzymał, dopóki wszyscy nie przeszli.

— Jakóbie! — zawołał jeden z ludzi idących na czele — zabierz ze sobą chłopca, stojącego u wrot.

Na te słowa wysoki, barczysty robotnik, postępujący na końcu orszaku, zawrócił się do wrot, które Benjamin, takie było imię małego odźwiernego, zdziwiony tem niezwykłym wydarzeniem, trzymał jeszcze w ręk.

— Chodź ze mną, chłopcze — rzekł szybko, zbliżwszy się do małego odźwiernego — chodź prędko, bo nie mam czasu.

— Nie mogę — odrzekł chłopiec — muszę wrót pilnować; jeszcze nie dano znaku do wyjścia.

— Dziś nie dadzą żadnego znaku — powiedział człowiek, którego nazywano Jakóbem — chodź czemprędziej.

— Nie pójdę, panie, nie mogę odejść, muszę czekać na Tomasza — rzekł Benjamin.

Na te słowa Jakób, który z powodu wzrostu i siły nosił miano olbrzyma, przystąpił bliżej do chłopca.

Wtem stanął we wrotach jeden robotnik, który jeszcze nie wyszedł był z kopalni, a usłyszawszy, o co rzecz idzie, rzekł:

— Daj mu pokój, Jakóbie, nie bierz go ze sobą, zapewne zaraz przyjdzie po niego brat jego Tomasz; odprowadza go zawsze do domu.

Podczas tej rozmowy Benjamin ciągle trzymał wrota w ręk, obrócony twarzą w jedną i tę samą stronę, nie zwracając oczu ani na przechodzących tędy ludzi, ani na to, co się wkoło niego działo. Tak dziwne zachowanie się chłopca zwróciło uwagę Jakóba; odczepił on lampkę od kapelusza, skierował światło na oblicze Benjamina, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu dostrzegł, że blask nie czynił na nim żadnego wrażenia, gdyż oczu nawet nie zmużył.

— Co ci to, chłopcze? — zawołał olbrzym głosem pełnym głębokiego współczucia.

— Jakto, pan nie wie, że jestem ociemniały?

— Jesteś ociemniały, a pracujesz w kopalni?

— Praca to niewielka; kiedy słyszę jadące wozy lub zbliżających się ludzi, otwieram wrota i za nimi je zamykam; ot i wszystko.

— Któż cię tu przyprowadza, bo przecież sam przychodzić nie możesz?

— Mój brat Tomasz — odrzekł Benjamin z pewnym zadowoleniem — bez niego nie dałbym sobie rady.

Z każdą chwilą wzrastało zainteresowanie się Jakóba dołą biednego ociemniałego dziecka, którego głos posiadał ten odcień rzewności, właściwy wszystkim dzieciom pozbawionym wzroku.

— Siadaj, chłopcze, na tej ławce — rzekł do Benjamina — radbym usłyszeć coś więcej o twoim bracie.

Kiedy usiedli na prostej drewnianej ławie, Benjamin zaczął swoje opowiadanie: opowiedział, że brat jego Tomasz ma lat 14, jest o dwa lata starszy od niego, a tak dobry, jak żaden człowiek na świecie, oprócz mamy; widzi on wszystko tak, jak inni ludzie. Dalej mówił o swojej ślepotcie, o tém, że będąc małym dzieckiem wzrok postradał, oraz, że przed rokiem sprowadzony do majora Drydena doktor z Filadelfii, ujrzawszy go przypadkiem i przypatrzwszy się jego oczom

powiedział, że gdyby mógł pojechać do tego miasta, toby zapewne wzrok odzyskał, bo tam są lekarze, którzy niejednemu już dziecku wzrok przywrócili. Kiedy brat jego Tomasz zapytał się doktora, ile to może kosztować, lekarz odrzekł, że na to wystarczy sto dolarów. Na nieszczęście Tomasz nie mógł więcej dowiedzieć się od doktora, bo ten został wezwany do chorego.

— Otdał — mówił dalej Benjamin z rozrzewnieniem — brat mój zaczął robić oszczędności, aby zebrać sumę potrzebną na moje wyleczenie. Długo trzeba będzie na to czekać — dodał ze smutkiem — bo Tomasz niedużo zarabia, a i to, co zarabia, oddaje na nasze utrzymanie. Bardzo było mi przykro — ciągnął po chwili — że w niczem nie mogłem się przyłożyć do powiększenia sumy, przeznaczoną na moje wyleczenie; uprosiłem tedy Tomasza, żeby mi wynalazł jakie miejsce w kopalni, i wkrótce zostałem odźwiernym przy tych wrotach. Przybywam co rano z Tomaszem do kopalni, wchodzę do próżnego wozu, stojącego u wejścia, Tomasz zaprzęga osła i wiezie mnie do wrot, przy których teraz siedzimy. Tu mnie zostawia, a sam jedzie dalej w głąb kopalni. Po naładowaniu wozu węgiem kamiennym, powraca tą samą drogą i za każdym razem parę słów do mnie przemawia. W południe razem spożywamy obiad, jaki nam matka nasza daje; wieczorem zaś, kiedy brat mój po raz ostatni wjeżdża przez wrota, wdrapuję się na wóz i wyjeżdżam z kopalni, poczem razem idziemy do domu, gdzie matka na nas czeka z wieczorną. Mamy już 20 dolarów — dodał z radością — brakuje nam tylko 80, a kiedy te zbierzemy, pojedę do Filadelfii. Ach! — zawołał w uniesieniu — jeśli wzrok mi przywrócą, to wiem już co zrobię; będę pracował z całej siły, aby nie być ciężarem Tomaszowi i biednej mojej matce. Tomasz zostanie górnikiem, ja będę przy nim pracował, dopóki nie nauczę się górniczego rzemiosła, a kiedy i ja zostanę górnikiem, weźmiemy w dzierżawę jedną komorę, przyjmiemy do pomocy ludzi, i na własną rękę zarabiamy będziemy duże pieniądze. Wtem matka nasza nie będzie potrzebowała pracować.

Opowiadanie tego chłopca dziwną odznaczało się rzetelnością i szczera prostota, jaka cechowała każde jego słowo, odzwierciedlała czystość jego duszy. Największa jego ambicja polegała na tem, że chciał pracować; spodziewał się, że odzyska wzrok i wysłał tylko o swojej matce i o swoim bracie, w nieograniczonem zaufaniem. W zupełności też Tomasz zasłużył na to zaufanie. Niepodobna było znaleźć chłopca w tym wieku, poważniej niż on zapatrującego się na swe położenie, a przytem bardziej kochającego swojego brata i matkę.

— Dla czego nic nie wspominasz o ojcu? — zapytał Jakób, zaciekawiony opowiadaniem chłopca — gdzie się znajduje?

— Nie żyje — odrzekł smutnie Benjamin. — Sam najprzód przybył w te okolice, i dopiero po jakimś czasie znalazł nam się tu sprowadzić; ale kiedyśmy przybyli, nie zastaliśmy go już przy życiu.

— Czy umarł na febrę?

— Nie, bryła kamienna zabiła go w kopalni. Zmarzył się to na dwa tygodnie przed naszym przybyciem, wcale też go już nie widzieliśmy. Miałem wówczas zaledwie cztery lata, ale doskonale pamiętam, jak mama gorzko płakała. Nie mogła długo płakać, bo musiała się wziąć do pracy, aby zarobić dla nas na kawałek chleba. Musiała bardzo ciężko pracować — powtórzył Benjamin po chwili z westchnieniem.

Słowa te sprawiły głębokie wrażenie na Jakóbie. Z widocznym wzruszeniem przysłuchiwał się opowiadaniu biednego chłopca. Pewtórnie odczepił lampkę od swego kapelusza, i powtórnie zbliżył ją do twarzy Benjamina.

— Mówisz, że zabiła go spadająca bryła węgla kamiennego?

— Tak jest, tak powiadano; ale mówiono także, że właściwie niewiadomo, z jakiego zginął powodu.

Na te słowa tak silnie zadrżała ręka olbrzyma, że płomień lampy wahał się na wszystkie strony.

— Gdzie on stracił życie? W jakim miejscu, w jakiej kopalni?

— W kopalni Carbondale, podobno w szybie Nr. 6 — rzekł Benjamin po chwili zastanowienia. Od kilku chwil dostrzegł on wielką zmiany w głosie Jakóba, ale nie wiedział, czemu to przypisać.

— Jak się on nazywał? Jakie jego nazwisko? — rzekł śpiesznie Jakób; i ogromną swą ręką tak silnie ścisnął rękę chłopczyny, że ten z bólu zeskoczył z ławki i zawołał błagalnym głosem:

— Panie, nie ścisnij mnie tak silnie, nie rób mi nic złego, wszak wiesz, że nie widzę.

— Nie chcę ci sprawić żadnej przykrości, żądam tylko, żebyś mi powiedział nazwisko twego ojca.

— Nazywał się Tomasz Taylor — rzekł chłopiec, drżąc ze strachu i usiłując usiąść na ławce.

(d. c. n.)

Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.

— Ach, panie Adamie — mówiła raz Helenka, krzątając się po pokoju swego sędziwego przyjaciela — jak to zaraz znać, że tu u pana niema w domu porządną gospodyni. Taki kurz poosiadał wszędzie, po stolikach, po książkach, trzebaż to zetrzeć. Czy nie znajdują się tu jakie przybory do tego, jakaś trzepaczka, miotełka, ściereczka, lub coś w tym rodzaju; ja doskonale umiem okurzać delikatne przedmioty i żeby mi tylko p. Adam pozwolił...

— Z największą przyjemnością się na to zgadzam, moje drogie dziecko — odrzekł staruszek z uśmiechem — ta poczciwa Janowa dziś widocznie zapomniała o zwykłym porządku a ja tak byłem zajęty, że i nie spostrzegłem tego. Oto masz ściereczkę czystiotką i miękką, bo nie pozwalam do okurzania używać żadnych tych modnych trzepaczek lub miotełek, więc i nie znajdziesz ich u mnie.

— Nie lubi p. Adam trzepaczek? a toż dlaczego — pytała ciekawa Helenka.

— O, mam do tego ważne powody — rzekł p. Adam — powiedz sama, coż to za sens strzepywać kurz z różnych przedmiotów i rozpraszać go w powietrzu? Miękką ściereczka zawsze część przynajmniej zatrzyma w sobie i usunie.

— To prawda, jakoś mi to nigdy na myśl nie przyszło. Ale coż zresztą ten kurz szkodzi w powietrzu? Jak się dobrze rozproszy, to go wcale nie widać.

— Oho, czyż sądzisz, moja Helenko, że przedmioty dla gołego oka niewidzialne nie mogą być szkodliwe? Co się tyczy tych pyłków powietrznych, nie wszystkie zapewne są podejrzane, niektóre nawet wiele pożytku nam przynoszą, ale inne ukrywają w sobie rozmaite zarodki jadowite i przynoszą choroby zaraźliwe. Wolałbym zatem, aby takie na ściereczce pozostały i siedziały z nią razem spokojnie w szufladce.

— O tych zarodkach strasznych chorób, przenoszonych przez powietrze, coż już słyszałem — odezwał się Wacław — chociaż niezbyt dokładnie. Ale niezmiernie jestem ciekawy, jaki pożytek mogą pyłki przynosić, gdy się unoszą w powietrzu?

— Właśnie dziś czytałem o tem niezmiernie ciekawe szczegóły w jednym z moich pism naukowych — odpowiedział p. Adam.

— A to i nam pan opowie, nieprawdaż? — mówiła Helenka z przymileniem — ja zaraz skończę swoje okurzenie, widzi pan, jak ostrożnie to robię, żeby wszystkie kurz na ściereczce zostawał. Sądzę, że tego potrzebnego zawsze dosyć jeszcze w powietrzu się znajdzie.

— O, aż nadto — rzekł p. Adam z uśmiechem — u nas po miastach nigdy go nie zabraknie z pewnością.

— A gdyby zabrakło? Ogromnie pan mnie zaciekawił

— mówił Wacław — cóżby się stało, p. Adamie, gdyby ta cudem jakim powietrze oczyściło się zupełnie z kurzu?

— Pewien uczony Anglik, nazwiskiem Tyndall, chciał się o tem przekonać — odrzekł poważnie p. Adam — urządził więc skrzynię drewnianą oszkloną, hermetycznie zamkniętą, spód jej nasmarował lepka gliceryną i postawił w takim miejscu, gdzie zabezpieczona była od wszelkiego ruchu, wszelkiego wstrząśnienia. Pyłki powietrzne, zawarte w skrzyni, powoli w skutek ciężkości opadały na dół, przylegały do gliceryny i w końcu powietrze oczyściło się najdoskonalej, żaden pyłek w niem się nie unosił.

— I coż się, stało, p. Adamie? — pytali Wacław i Helenka jednogłośnie.

— Uczony nasz spostrzegł nie bez zdziwienia, że to powietrze, tak pięknie oczyszczone, stało się zupełnie ciemne. Chociaż to było w dzień biały, słońce świeciło, promienie jego padały także i na skrzynię, lecz tam w jej wnętrzu zdawały się gasnąć. Gdy jednak skrzynię otworzył i wpuścił do niej trochę zwyczajnego, zakurzonego powietrza, zaraz te ciemności się rozjaśniły.

— Ach! panie Adamie — zawołała Helenka — to coś takiego dziwnego, że nic a nic nie rozumiem.

— Czyż nie widzisz codziennie, jak każdy przedmiot, który zwykle błyszczącym nazywamy, świeci jasno, gdy nań padną promienie słońca? W nocy każdy ten przedmiot jest ciemny, więc ztąd wiemy, że nie ma własnego światła, tylko słoneczne odbija. Wyobraźże sobie, co się dzieje, gdy jasne promienie światła przebiegają przez ową skrzynię, wypełnioną przezroczystymi, nikłymi gazami, z których się składa powietrze. Nie mają na czem się zatrzymać i światła nie rozsiewają. Co innego, gdy napotkają drobne pyłki twarde, unoszące się wśród gazów, te zaraz je chwytają niejako i jakby blaski lub zwierciadełka małutkie, światło odbijają, a ztąd tworzy się w całej takiej przestrzeni jasność.

— Mój Boże! co za osobliwości — wołała Helenka — więc gdyby w powietrzu nie było pyłków...

— Byłoby ciemno na świecie — dokończył p. Adam — ale nie dość na tem, bo inny znów uczony Anglik dowodzi, że bez nich nie byłoby także, i deszczu, i śniegu.

— Bez pyłków? a to coś nowego! — wykrzyknął Wacław.

— Masz słuszność — mówił stary profesor — całkiem to nowe jest odkrycie i trudno naprawdę w nie uwierzyć. A jednak uczony ten, zwany p. Aitken, urządził doświadczenia, które najzupełniej te jego wyobrażenia potwierdzają. Pod dzwonem hermetycznie zamkniętym, wypełnionym powietrzem pozbawionem pyłków, ustawił gotującą się wodę. I coż wy na to powiecie? para wodna rozpraszała się i rozplýwała w powietrzu, stawała się niewidzialna, nie tworzyła, jak zwykle, drobnych kropelek mgły i nie spływała po ścianach dzwonu w postaci wody. Oczywiście nasz uczony wyprowadził ztąd wniosek, że para wówczas tylko wytwarza większą kropelkę, gdy napotka w powietrzu jąderko twarde. Takie jest właśnie zadanie pyłków powietrznych, para wodna skupia się przy nich i ztąd tworzą się chmury i krople deszczu. Ba! utrzymują już nawet uczeni ludzie, jak to dziś czytałem, że piorunów i błyskawic nie byłoby także bez pyłków, bo elektryczność na nich tylko się sadowi, a nie na nikłych gazach powietrznych.

— No, tegoby chyba nikt tak znów bardzo nie żałował, żeby błyskawic i piorunów nie było — odezwał się Wacław — ale niechże nam teraz kochany p. Adam opowie coś jeszcze o szkodliwych pyłkach, jakim to one sposobem mogą roznosić choroby po świecie.

— Nic prostszego. Wyobraźcie sobie, że w powietrzu, w wodzie, w ziemi, wszędzie dokoła nas żyją chmary istotek drobniateńskich, zwanych ogólnem mianem mikrobow, bo je tylko przez szkło mikroskopu spostrzedz można. Z nich niektóre sadowią się we krwi zwierząt i ludzi, tam rozmnażają się w sposób straszliwy, niepojęty, zbierają dla siebie pożywe części krwi, ztąd powstają gorączki i przeróżne dolegliwości. Już zdołano nawet pochwytać na uczynku mikroby



Zakopane w zimie (str. 6).

różnych zaraźliwych chorób; są to po większej części drobniutki grzybki, często przybierają także postać laseczek i zowią je wówczas lasecznikami.

— Jakimże to sposobem pochwycono je na uczynku? nie rozumiem tego dobrze — spytała Helenka.

— Ach, jakaż niepojętna jest — zawołał Wacław

— z żył chorego wydobyto szpileczką kropelkę krwi i pod mikroskopem spostrzeżono w niej mnóstwo niezmiernie żyjących, jakich u zdrowych ludzi niema.

— Czy tak, panie Adamie? — szepnęła dziewczynka niedowierzająco.

— Tak, niezawodnie — odrzekł starszak — a jeżeli

u każdego dotkniętego tą chorobą znajdują się zawsze też same mikroby, to już dowód niezbity, że to one są sprawcami złego.

— Ach! żebyż to można je pozabijać jakoś, toby zapewne i choroba minęła — mówiła Helenka.

— To tylko kłopot — zauważył p. Adam — że prawie wszystko, co najskuteczniej niszczy mikroby, zabiłoby także i chorego. A jednak wynaleziono już środki obrony. Przekonano się naprzykład, że jad mikrobów może być silniejszy i słabszy. Słabszy zaś ma tę osobliwą własność, że sprowadza chorobę lekką, przemijającą, a potem chroni od silniejszej, tak samo, jak ospa szczepiona zabezpiecza od naturalnej. Znakomity uczonec francuzki Pasteur, wyłącznie oddający się badaniu mikrobów, pierwszy tę własność ich zauważył i zaczął przyrządzać sztucznymi sposobami takie jady słabsze, szczepił je w chorobach zaraźliwych zwierząt, owiec, kur i innych, i bardzo mu się to powiodło.

— Ach, Pasteur! to ten, co robi ochronne szczepienia ludziom, pokąsanym przez psy wściekłe. Słyszałem o tem — wołał Wacław — a więc to chyba i jad wściekliczny pochodzi od tych okropnych mikrobów?

— Zapewne — odrzekł p. Adam — bo zachowuje się podobnie. Dotychczas jednak Pasteur, pomimo badań najpilniejszych, nie wykrył tego mikroba wściekliczny; musi być nadzwyczajnie drobny i nieznamy. Pewien lekarz amerykański szczepieniem jadu żółtej febry potrafił mnóstwo rodaków swoich uchronić od tej zabójczej choroby. Może też kiedyś w przyszłości nauczą się ludzie takim szczepieniem zabezpieczać od wszelkich ciężkich chorób, tymczasem musimy się od zarazy opanować, jak można, i dlatego to ja wolę ściereczkę do zmiatania kurzu, od miotełek i trzepaczek.

— Alboż p. Adam przypuszcza, że te obrzydłe mikroby mogą się zamieszać wśród zwyczajnego kurzu? — zapytała Helenka zdziwiona

— Oj, czemu nie — odpowiedział stary profesor — pyłki powietrzne są dwojakiego rodzaju, jedne mineralne, powstają z okruszyn kamieni, metalów, węgla, drugie zaś są to prosto zarodki drobnych grzybków, laseczników, bakteryj, bo różne nazwy tym mikrobom nadają. Jest to pył żyjący, a pełno go, jak wam mówiłem, w powietrzu, w wodzie, w ziemi.

— Nawet i w ziemi?

— O tak, i tam, przyznać trzeba, trzymają się głównie gatunki pocziwe i pożyteczne, bo nie sądzicie, aby wszystkie mikroby szkodę tylko przynosiły, choroby rozprzestrzeniając. Przekonano się, że drobne te, niedojrzane gołem okiem żyjątką, czynnie dopomagają rolnikom, przerabiają i użyźniają grunta, bez nich nawet rośliny nie mogłyby kiełkować i rozwijać korzeni. Przez długi czas naprzykład niepodobna było zrozumieć, skąd się bierze w roli urodzajnej obfitość azotu. Wiecie zapewne, że azot, to jeden z gazów powietrznych, w atmosferze jest go bardzo dużo, więcej od innych gazów, więcej od życiodajnego tlenu; tymczasem rośliny, które wybornie chwytają liśćmi, i tlen, i dwutlenek węgla, azotu tym sposobem wcale nie pobierają. Potrzebują go jednak, on bowiem stanowi ważną część ich tkanek i wciągają, ale tylko za pośrednictwem korzeni. I otóż, jak powiedziałem wyżej, było to przez czas długi zagadką, skąd tam się bierze w ziemi dostateczna ilość azotu. Aż tu niedawno pewien chemik francuzki, Berthelot, wykrył za pomocą różnych ciekawych doświadczeń, że w roli jest zawsze niezmiernie mnóstwo mikrobów, które możnaby nazwać azotowemi, bo wyłącznym ich przeznaczeniem jest azot pochłaniać, i przyrządzać go w sposób najdogodniejszy do tego, aby mógł być z kolei przez kożenie roślin wciągany.

— Mój Boże! takie maleństwo, że tylko przez szkło mikroskopu może to być dojrzone, a tyle może dokonać — mówiła Helenka.

— Ba! maleństwo — odezwał się Wacław — ale co to tam tego być musi za ilość; miliony, miliardy, nie, chyba większe jeszcze jakieś liczby, nieużywane w zwyczajnych rachunkach arytmetycznych. Nieprawdaż, panie Adamie?

— Rozumio się — odrzekł stary profesor — to dla nas nauka, że w jedności mieści się siła. Drobne, niedojrzane stworzenia, pracując zgodnie, tworzą dzieła olbrzymie. Czegożby to ludzie nie dokonali, gdyby działali zawsze jednomyślnie, zamiast wojować między sobą, sprzeczać się, przeskadzać jedni drugim.

I mówiąc to, p. Adam smutnie się jakoś a Wacław skinął na siostrę i oboje odeszli do innego zaczęli przeglądać rycinę, co zawsze czynili, gdy sędziwiem przyjacielowi przeskadzać nie chcieli.

M. J. Z.

ZAKOPANE W ZIMIE.

Któż nie zna tej uroczej górskiej wioski, choćby tylko z opisów i rycin. Lecz wszyscy, którzy zwiedzają Zakopane, wybierają zwykle do tego porę letnią. W ostatnich czasach jednakże uzdrawiające powietrze górskie ściągają tam coraz liczniej goście osiedlających się w Zakopanem na czas dłuższy, a nawet i na zimę. Między innymi bawił tam niedawno malarz z Warszawy, p. Witkiewicz i pobyt swój umiał spożytkować, gdyż przywiózł mnóstwo pięknych rysunków, które zamieszczają różne pisma ilustrowane warszawskie.

Jeden z tych rysunków i my dziś podajemy, przedstawia on przejażdżkę sankami wśród okropnych zasp śniegowych. Jeżeli latem deszcze obfite tak często dokuczają turystom w Tatrach, to zimą znów zamiast deszczu spadają równie obfite śniegi, zasypują wszędzie szczeliny skał, wąwozy i kotliny, a nawet na drogach utrudniają jazdę sanną, jak widzimy na rysunku.

WYCIECZKA NA ŚWIĘTY KRZYŻ.

PRZEZ Stanisława z Warszawy.

Ofiarowana siostrze Jadwidze K.

Jedną z głównych przyjemności, jaką obiecywałam sobie w czasie pobytu w Kielcach, miało być zwiedzanie okolic tego grodu biskupów krakowskich i rzeczywistość nie zawiodła oczekiwań. Lasy i góry, otaczające zielonym wiankiem Kielce, nęciły mię niemało, pierwsze tajemniczą głębią, ciszą swą i chłodem; drugie zaś pięknym i obszernym z nich widokiem. Po zwiedzeniu bliższych miejscowości, jak Karczówki, Domaszewic, Kadzielnia, przyszła kolej i na dalsze, na marmurowe Chęciny, żelazny Białogon, uroczy Słowik. Wszystko to jednak nie zadowolniło mię w zupełności, myślałem ciągle o najdalszej i najpiękniejszej wycieczce na Święty Krzyż. Nieustannie atoli przeszkody, jak brak towarzysów podróży, niepogoda, lub ważne jakieś zajęcia nie pozwalały wypełnić mego zamiaru, a właściwie mówiąc marzenia. Lipiec się już kończył, a z nim i pobyt mój w Kielcach, zamierzona jednak wycieczka nie przychodziła do skutku, nie dawałem wszakże za wygraną. Wyznaczywszy sobie bowiem dzień 3-go Sierpnia, postanowiłem bądź co bądź w dniu tym marzenia swoje sprowadzić do krainy rzeczywistości.

Bóg błogosławił mym zamiarom; wyszukała się furmanka, znaleźli się towarzysze podróży w osobie kolegi mego z Kielc i p. S. profesora z Petersburga; pogoda tylko źle się zapowiadała, ciężkie, ołowiane chmury groziły deszczem i nawałnicą, powietrze duszne i gorące przepowiadało niejako niedaleką burzę. Na zważaliśmy jednak na te złowrobnne oznaki, biorąc tylko na wypadek niepogody ciepłe okrycia i parasole.

O godzinie drugiej zająchał umówiony woźnica; dług brykę ze słomianymi siedzeniami ciągnęła para małych, let

ładnych koników. Przy wsiadaniu nastąpiła krótka narada, jaką drogą pojedziemy? wspomniałem o górze św. Katarzyny; woźnica, usłyszawszy tę nazwę, podjął myśl moją i gorąco zaczął namawiać, byśmy wybrali kierunek drogi na tę górę. Nie tając przytem, że niedaleko z tamąd, we wsi Wzorze, ma siostrę rodzoną, z którą dawno już się nie widział, teraz więc chciałby skorzystać z tak dobrej sposobności. Zgodziliśmy się na to chętnie, tembardziej, że ta droga miała być piękniejsza i niewiele co dłuższa od drugiej.

Woźnica rażno zaciął koniki, przeżegnawszy się, w Imię Boże żwawo ruszyliśmy z miejsca. Nieliczni o tej porze przechodnie ciekawie przypatrywali się naszemu niewybrednemu ekipażowi. Przez Borzeczką ulicę wydostaliśmy się na drogę, nie przejeżdżając przez żadne rogatki, których wola w okolicy całego miasta niema.

Szosa wiodła się przed nami długą białą wstęgą; koniki wesole parskaly, jakoby wróżąc dobry skutek wycieczki, a co ważniejsza, niebo prawie całkiem z chmur oczyszczone dawało nadzieję stałej pogody, która nam rzeczywiście w ciągu całych dwóch dni towarzyszyła.

Jedziemy więc pełni otuchy przez pola i wsie prawie puste, gdyż mieszkańcy wszyscy przy pracy, korzystają z pięknego czasu. Ogólne milczenie przerywa czasem gniewnie zda się szczekanie wioskowego brysia; nikt z nas go jednak o prawdziwy gniew nie posądzał, więcej on to robi ze zwyczajem, z nałogu: szczeknie parę razy, pobiegnie kilka kroków za koniami i wraca napowrót drzeć pod przyźbą chałupy, lub wiejskie dzieciaki zapraszają go do przerwanej zabawy; o brysia za uszy pociągną, to znów który wsiądzie na niego jak na konia i zmusza do powstania; pies na pierwsze powołanie, ale się z miejsca ruszyć nie daje, woli „dolce far niente”, dopóki turkot bryczki lub wozu nie przerwie znów ergo drzemki i nie zmusi do obowiązkowego „hau, hau!”

Wśród poważnej ciszy natury i myśmy na chwilę zamildli, nagle p. S., który już od dość dawna upatrywał czegoś w dali, woła na woźnicę: „stój, stój!” jednocześnie dobywa ornetę z kieszeni, przykłada ją do oczu, i mówiąc „widzę już, widzę”, lornetę nam podaje; po chwili rozwiąaliśmy zagadkowe wołanie p. S., przed oczyma bowiem naszymi, za pomocą szkieł przybliżających, ukazał się szczyt wieży Łysogórskiej, a właściwie krzyż na kościele. Wtedy mimowoli namiętnie się na pamięć te słowa natchnionego wieszca:

„Zdała widniejąc nad niwy polskimi
Krzyż miłosierne rozciąga ramiona
I błogosławi naszęj drogięj ziemi.
On celem naszym, jedynem pragnieniem,
Ziemskim wędrowcom to wskazówka święta;
Pod tego godła opiekuńczym cieniem
Tulmy się kornie, jak drobne pisklęta
Pod skrzydła matki, co o nich pamięta...”

Ten znak zbawienia, tę gwiazdę przewodnią, widniejącą na nieboskłonie, mieliśmy ciągle przed oczyma, dopóki oźnica nie skręcił w bok szosy. Odtąd jechaliśmy staroawnym jodłowym lasem, wśród pogwaru i śpiewu ptasząt. Pan S. uprzyjemniał nam drogę, opowiadając wypadki z życia tego wuja s. p. Ks. biskupa Wnorowskiego, z czasów kiedy ten był jeszcze regensem w seminarjum kieleckim, jego konferencyach dla księży i alumnów, a te, jak zaświadczył trzeci nasz towarzysz, przechowują się dotychczas w sercu i pamięci tych, którzy mieli szczęście choć raz je słyszyć. Wspomniał p. S. dalej o jego konsekracji w Petersburgu, o krótkim czasie biskupstwa w dyecezyi lubelskiej, następnie o ostatnich chwilach życia tego wzorowego kapłana, pasterza i obywatela; wreszcie o powszechnym smutku żalu, jaki pozostawił po sobie w sercach dyecezyan i wszystkich, którzy go tylko znali, lub słyszeli o jego znacznych szlachejnych czynach. Postać tego męża poświęcenia, pojąjącego i spełniającego zarazem tak dokładnie zadanie obowiązkowe kapłana w naszych czasach, stanęła przed nami sną, bez skazy, do ideału podniesioną, jako wzór żywy do naśladowania!

Lecz otóż i góra św. Katarzyny wynurzyła się z otaczających ją w około lasów; wysiedliśmy przed kościołem. Głęboką cisza otacza go jakimś urokiem i majestatem; przez drzwi otwarte wstępujemy do tego przybytku Pana Zastępów, by Mu się pokłonić utajonemu w Najświętszym Sakramencie. Kościół wprawdzie pusty, lecz rozlegają się w nim liczne głosy... to zakonnice, PP. Bernardynki, odmawiają pacierze kanoniczne; po uważniejszym wsluchaniu się jeden z moich towarzyszy poznał, że kończą „Laudes”; nie wchodząc więc dalej, żeby nie przeszkadzać ich modlitwie, przysłuchywaliśmy się w milczeniu tym głosom spokojnym, wolnym od wszelkich roztargnień życia światowego; może ta ich modlitwa codzienna wspólna niejednemu grzesznikowi wyprosiła łaskę nawrócenia, niejednego powstrzymała nad przepaścią grzechu... ciche to zasługi, ludziom nieznane, lecz Sędzia Najwyższy kiedyś je policzy i wynagrodzi...

Po chwili skończyły się pacierze, weszliśmy do wnętrza świątyni, postawionej w XVII wieku przez Rzeszowski, biskupa krakowskiego; na obszar jest ona niewielka, czysto utrzymana, ma trzy ołtarze, z których główny przedstawia postać św. Katarzyny, patronki Kościoła, ze srebrnym obok mieczem, narzędnem jej męczeństwa.

Z kościoła wychodzimy na klasztorny korytarz, chcąc się zapoznać z Ks. kapelanem; wszystkie drzwi pozamykane osłabiają nadzieję spełnienia tego zamiaru, po chwili jednak znalazł się dzwonek, na dźwięk którego otworzyło się małe okienko w murze, a w niem ukazała się twarz wiejskiej dziewczyny; ta na widok niezwykłych gości pierzchła bez śladu, widać jeszcze było z za węgła kilka innych dziewoi, lecz tylko jakby na dowód, że nieśmiałość ludzka jest czasem nie do przewyciężenia... Przełożyliśmy nasze żądanie z daleko to poskutkowało lepiej, gdyż wyszła służąca i otworzyła nam drzwi do „rozmównicy” przedzielonej, jak we wszystkich klasztorach klasztoralnych, drewnianą kratą. Wkrótce przysłała przełożona PP. Bernardynek w towarzystwie siostry zakrystyanki; po chrześcijańskim pozdrowieniu i po zarekomendowaniu się, szanowne Siostry uprzejmie zaprosiły nas na podwieczorek. Nie bardzośmy się wymawiali, gdyż kilkomilowa jazda nie mało zaostryła nasz apetyt; przez okienko w kracie umieszczone wysuwały się na stół różne wiejskie przysmaki, przy spożywaniu których gawędziliśmy z Siostrami, dopytując się o historią ich klasztoru, o wysokość góry św. Katarzyny, a nawzajem udzielając różnych nowin ze świata. Wreszcie, podziękowawszy za dary Boże, pod przewodnictwem kowalczuka, świadomego drogi, wybraliśmy się na górę św. Katarzyny, inaczej zwaną Łysicą.

Zaraz u podnóża bije źródło zwane św. Franciszka, starannie ocembrowane i stoi kapliczka tegoż Świętego. Nie zatrzymując się jednak tutaj, szliśmy pod górę drogą przykrą, bo kamienistą, tu i owdzie poprzerywaną strumieniami. Po 20 minutach dotarliśmy do szczytu, wznoszą się na nim szczątki obserwatorium astronoma Armińskiego, założyciela takiegoż gmachu w Warszawie; podług obliczeń jego, robionych w 1828/9 roku, góra Łysica wznosi się na 1960 stóp po nad poziom morza, to też p. S. z pewną dumą zauważył, że w obecnej chwili w całym Królestwie Polskiem nikt nie stoi od nas wyżej!..

Po śmierci uczonego astronoma, kilkopiętrowe obserwacyjne wzniesienie, urządzone przez niego na Łysicy, zostało zburzone przez hulające swobodnie wichry, a resztki drzewa i klamry żelazne rozebrali okoliczni mieszkańcy. Przedtem dla dogodniejszego robienia spostrzeżeń astronomicznych wycięto drzewa na szczyt; teraz zaś z jednej tylko strony otwarty jest widok na siniejące zdaleka Karpaty i na bliższe miasteczka i sioła. Na pamiątkę swęj bytności zerwałem z tego miejsca bukiet olbrzymich paproci i kilka skromnych górskich kwiatków.

Spuściliśmy się kilkadziesiąt kroków niżej, tu spotkała nas miła niespodzianka; przez naturalne, wycięte jakby w zieleni drzew okno, widać było zwolna zachodzące słońce; staliśmy już w cieniu, a olbrzymia lampa dzienna majestatycznie spuszczała się za okoliczne szczyty, rzucając nam na

pożegnanie jaskrawe blaski. To połączenie światła i ciepla, błękitów nieba i drzew zieleni, wywierało niewymowne wrażenie; zwykle w takich razach dusza dotykalniej, goręcej odczuwa wszechmocność Boga na widok tych wspaniałych cudów natury i z naszych też piersi wyrwały się słowa modlitwy i starodawny ów hymn: „Wszystkie nasze dzienne sprawy” rozległ się rozgłosnym echem po górach i lasach okolicznych. Jeszcze chwilę napawaliśmy się tym wspaniałym widokiem, w coraz to innym, a zawsze pięknem oświetleniu. Na naszych nizinach i piaskach mazowieckich coś podobnego znaleźć trudno, prawie niepodobna... Poczem, odpoczywając czasem na starych pni fotelach, lub na skał odłamach, spuściliśmy się już inną, lecz równie trudną do zejścia drogą.

W stronie zachodniej, na stoku góry, z której schodziliśmy, widnieją znaczne przestrzenie skaliste, z lasu obnażone i dla tego u ludu gołoborzem zwane. Są one według zabobonnych podań miejscami, gdzie czarownice za tajemniczym zaklęciem „Las nie las, wieś nie wieś, biesie nieś!” na łopatach zlatują i w sabat ze złemi duchami harce odprawiają.

(d. c. n.)

BŁĘDY JĘZYKA.

Młodzież nasza z konieczności uczyć się musi kilku języków obcych, co bardzo niekorzystnie wpływa na mowę ojczystą. Coraz więcej i w mowie, i w piśmie rozpowszechniają się błędy, nieraz rzeczywiście trudno się ich ustrzedz, bo i w druku napotykamy je na każdym kroku, a druk ma już taką u ludzi powagę, że wierzą w to, co drukowane. Już nieraz w Piśmie naszym wyliczaliśmy różne błędy języka najpospolitsze, przestrzegając naszych czytelników, aby ich unikali; lecz takich przestróg nigdy podobno nie może być za nadto, dlatego też dział ten na nowo wprowadzamy.

Często w druku nawet niestety! można napotkać wyrażenie: trzymać coś w *jednym ręku*, albo w *prawym ręku*. Mówiący tak i piszący nie zastanawia się nad tem, że się przecież nie mówi: *jeden ręk* lub *prawy, lewy ręk*, ręka jest rodzaju żeńskiego więc należy mówić: *w jednej ręce*. A jednak myłka ta powstała z wyrażenia całkiem prawidłowego i gramatycznego, bo można bez błędu powiedzieć: trzymał coś *w ręku*, byle nie dodawać *w jednym* lub *w prawym*, bo to wyrażenie *w ręku* znaczy tyle co *oburącz*. Dawniej w języku polskim, oprócz liczby pojedynczej i mnogiej, była jeszcze liczba podwójna, która dziś tylko dla kilku wyrazów pozostała w użyciu, między innymi mówimy: trzymał w *silnych ręku*, nie odwracał *oczku*; tu wyrazy *ręku, oczku*, oznaczają dwoje rąk, dwoje oczu. Jeżeli zaś mamy na myśli liczniejsze ręce lub liczniejsze oczy, mówimy, w *rękach* trzymali, nie odwracali *ocz*, wyrażenie *oczów*, jak często mówią i piszą, jest także błędem i wystrzegać go się należy.

ZADANIE KONKURSOWE.

Czem się różni odwaga od zuchwalstwa? Określić to treściwie, jasno, a następnie podać przykłady zuchwalstwa i odwagi, potwierdzające to określenie. Przykłady najlepiej brać z życia rzeczywistego, z własnego doświadczenia, z wy-

darzeń prawdziwych, lub wreszcie i z rzeczy czytanych. Do odpowiedzi trzeba dodać, i to koniecznie na tym samym papierze, nie na osobnych kartkach, imię i nazwisko prawdziwe, lata, adres dokładny, pseudonym do druku. Kto nie dopełni tych warunków, musi być wyłączony z konkursu. Odpowiedzi będą przyjmowane do 15 Lutego r. 1888.

ZAGADKA GŁOSKOWA (J. P.)

Wyraz ze mnie króciuteńki, niepozorny, mały,
Bo też tylko cztery głoski mieszczą w sobie cały.
A jednakże niezawodnie każdego ubawię,
Gdy mu jedną swoją własność szczególną przedsta
Oto głoskę początkową ilekroć przemienię,
Zmieniam razem najzupełniej i całe znaczenie.
Biorę *k* i wnet po polach żwawo pobrzękuje,
Tym odgłosem wszędzie serce rolnika raduję;
Biorę *n* i siadam ludziom pośrodku na twarzy,
Nikt się jednak tam na moją obecność nie skarży;
Lecz gdy głoskę *b* przybiorę, wcale mi nie radzi,
Tylko szewca mam uznanie i jego czeladzi.
Biorę *s* i dla smakoszów jestem pożądanym,
Biorę *ł*, ach! tu już różnie bywam przyjmowany,
Bo i radość przynieść mogę i zgryzot niemało,
A mnie wszystko przypisują, coby się nie stało.
W końcu, wreszcie pierwszą głoskę zupełnie odrzucę,
Dosyć krótki i tak wyraz jeszcze tem ukróczę;
I o dziwo! wówczas po tej ostatniej przemianie,
Rój owadów jadowitych ze mnie pozostanie.

Łamigłówka kryształowa (Z. R.)

1. Spółgłoska.
2. Roślina pożyteczna.
3. Rodzaj pieczywa.
4.
5. Imię żeńskie.
6. Narzędzie zmysłu.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą tytuł powiastki, którą zaehwycaly się czytelniczki „Wieczorów”.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Zagadki:

Ze — leń — ski.

Łamigłówki zgłoszkowej:

Dorpat — Omar — Nerwa — Jowisz — Ucho — Adam — Narew.
Don Juan — W. Mozart.

TREŚĆ: Jubileusz (z drzew.) — Trzy potęgi, wiersz p. M. Ziel. — Brat ociemniały, powieść Homera Green'a przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Pracownia pana Adama, pogadanka naukowa. — Zakopane w zimie (z drzew). — Wycieczka na Ś-ty Krzyż. — Błędy języka. — Zagadka konkursowa. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Dzwonek, wiersz p. Z. Morawską. — Skarbonka Jadwini. — Wandzia zawadyaka. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.



Dzwonek.

DZWONEK.

Dzwon w kościele się ozwał, a dziecię go słucha,
Co odgłos tego dzwonu mówi mu do ucha.
A dzwon powiada dużo, zwołuje wciąż dziatwę
I tak do niej przemawia: — Życie nie jest łatwe,
A więc, miłe dziateczki, bierzcie się do pracy,
Każdy musi coś robić. Wszak pracują ptacy,
Konie, woły i pieski, i mały robaczek,
I motylek, co skacze od krzaczka na krzaczek.

* * *

— Cicho, mój dzwonku -- odpowie dziecię
— A nie rozgłaszaaj tego po świecie,

Żem ja był dotąd próżniaczek mały,
Spałem i jadłem tylko dzień cały.
Bo oto zaraz ja się poprawię,
Do kolan mamy ławkę przystawię,
Na niej położę książkę, ołówek,
Uczyć się będę przeróżnych słówek,
A wszystko, co mi mama opowie,
Zachowam sobie w sercu i w głowie.
Wtedy zadzwonisz, mój dzwonku miły,
Że ja się uczę, ile mam siły.
A dzwonek mruknął: — Dyń, dyń! dyń, dyń!
Ucz się, dziecino, a dobrze czyń.

Z. Morawska.

Skarbonka Jadwini.

Mała Jadwinia corok dostaje od mamy, cioci, babuni różne ładne podarunki na gwiazdkę, tak też było i zeszłego roku. Dziewczynka przeczytała w „Wieczorach Rodzinnych” o biednych dzieciach ze Szpitalika Dziecinnego, które się tak cieszą każdą zabawką, choćby nadpsuta, więc wszystkie swoje dawniejsze cacka dla nich oddała. Ale przeczytała także opis, ile to biednych otrzymało pomoc z datków pieniężnych, przysyłanych do redakcji „Wieczorów” przez młodych czytelników.

— Ach, mamuniu — rzekła Jadwinia — jaka to szkoda, że ja nie mam pieniędzy. Wszystkie, wszyściuteńkie oddałabym dla tych biednych dzieci. Czy mamunia kochana nie da mi choć dwa, albo trzy, albo dziesięć złotych?

— Nie, moja Jadwiniu — odpowiedziała mama — w tej chwili nie mogę ci dać ani grosza, bo już dałam sama dla ubogich, co tylko od koniecznych wydatków udało mi się zaoszczędzić, a my nie jesteśmy bogaci. Zresztą, gdybyś zaniosta do redakcji „Wieczorów” pieniądze, wzięte odemnie, to byłaby moja ofiara, a nie twoja, nie miałyby w tem żadnej zasługi.

— A kiedy ja swoich pieniędzy nie mam... — mówiła Jadwinia zasmucona.

— Ja ci powiem, jakim sposobem możesz zebrać własne pieniądze i od siebie je ubogim ofiarować — powiedziała mama — zobaczysz, jaką ci to sprawi przyjemność, gdy będziesz mogła odnieść tę ofiarę do redakcji, mówiąc sobie: to ja, ja sama daję biednym dzieciom.

— Ach, mamusiu! Jakże to, jak zrobić? nauczyć tylko, a już ja będę zbierała te pieniądze, o, jak będę zbierała! Ale w żaden sposób odgadnąć nie mogę, zkąd ja ich wezmę?

— Oto masz skarbonkę — rzekła mama i postawiła przed córeczką małą skarbonkę glinianą — ile razy będę miała kupić dla ciebie coś z przysmaczków, ciastko, pierniczek, lub coś podobnego, dam ci do rąk na to pieniądze, od ciebie zaś będzie zależało oszczędzić z tego cośkolwiek i wrzucić do skarbonki.

— O dobrze, mamuniu, dobrze, już ja nigdy nie chcę żadnych przysmaczków, wszystkie pieniądze niech idą do skarbonki.

— Nie mów tego, moja Jadwiniu — powiedziała mama z uśmiechem — bo nie dotrzymałabyś postanowienia. Nie trzeba w niczem przesadzać, wszystkie dzieci lubią przysmaczki i ty je lubisz, nie potrzebujesz też wyrzekać się ich zupełnie, dość będzie, jeżeli część wydawanych na to pieniędzy zaoszczędzisz.

Od tej pory mama nigdy już sama nie posyłała służącej po pączki, ciastka lub pierniczki dla Jadwini, lecz oddawała córeczce te pieniądze, nie wspominając jednak nic o skarbonce, tylko mówiąc po prostu:

— Oto masz na pączki lub na ciastko.

Z początku nasza Jadwinia wszystkie te dziesiątki wrzucała do skarbonki, obchodziła się bez przysmaczków, myśląc o radości, jakiej dozna, gdy dużo, dużo pieniędzy zanieśie do redakcji „Wieczorów” dla bie-

dnych dzieci. W parę tygodni pomyślała sobie jednak, że są przecież nietylko dziesięciogroszowe, lecz i sześciogroszowe pączki i ciastka, więc dostawszy na to dziesiątkę, prosiła służącą, aby za sześć groszy kupiła, a cztery wrzucała do skarbonki.

Później, latem, nieraz gdy z boną chodziła na dłuższe przechadzki do Saskiego ogrodu lub do Łazienek, dostawała od mamy i dwadzieścia groszy, i złotówkę, na popas, jak mówiła mama. Jadwinia zgrzana i zgłodniała ze smakiem zjadała wówczas mleko kwaśne lub wypijała słodkie, a zwykle pozostawało coś jeszcze i na pierniczki. Te pieniądze niekiedy szły już w całości do skarbonki, ale trzeba przyznać, że często Jadwini tak ślinka szła do ust na widok smakowitych pierniczek, iż nie mogła się powstrzymać i bodaj jeden kupiła i tym sposobem do skarbonki wrzucała zwykle po dwa lub trzy grosze tylko.

Musimy jednak oddać Jadwini sprawiedliwość, że nigdy o tej swojej skarbonce nie zapominała zupełnie, rzadko się zdarzało, aby wydała wszystkie pieniądze, otrzymane na przysmaczki, zawsze choć małą jakąś częśćką zostawiła i wrzuciła do skarbonki.

Gdy rok upłynął i nadeszła tegoroczna gwiazdka, mama powiedziała, że trzeba skarbonkę rozbić i odnieść zebrane pieniądze do redakcji „Wieczorów”. Jadwinia westchnęła, bo pomyślała, że tam pewnie bardzo niedużo się zebrało. Ach! ona tak mało, tak mało oszczędzała z pieniędzy, otrzymywanych od mamy, większą część zawsze przejadała, grosiki tylko do skarbonki wrzucała, rzadko całą dziesiątkę zostawiła.

A gdy tak niespokojnie spoglądała dziewczynka, jak mama silnem uderzeniem rozbijała kruchą skarbonkę glinianą, nagle zamajaczyło jej w oczach takie mnóstwo rozsypujących się groszaków, że aż rączki złożyła z wielkiego podziwu.

— Ach, mamol! może tu będzie cały rubel — zawołała.

— Zobaczmy — odrzekła mama z uśmiechem — trzeba policzyć.

I odliczyła mama jedną kupkę groszaków, powiedziała, że to już jest cały rubel; potem zaczęła liczyć i złożyła obok drugi, a groszaków jeszcze mnóstwo zostało. Jadwini oczki zabłyśły radością, gdy dowiedziała się w końcu, że z tych drobnych miedziaków zebrało się całych sześć rubli; co prawda były pomiędzy nimi i dziesiątki, ale w mniejszej ilości, prawie ich nie było widać pośród miedzianych grosików.

— Moja mamunieczko — powtarzała Jadwinia uszczęśliwiona — jakim to sposobem się stało, żeby z takich groszaczek tyle się zrobiło rubli? Ja się tak bałam, myślałam, że i jednego całego nie będzie, wstyd mi było iść z takim datkiem do redakcji...

— Widzisz, moje dziecko — odrzekła mama — masz tu potwierdzenie przysłowia: ziarno do ziarnka, a będzie miarka. Czujesz sama, że odkładałaś bardzo niedużo, malutką częśćką tylko wydawanych na przysmaczki pieniędzy; lecz odkładałaś je ciągle, nieustannie i ztąd urosła taka spora kwota. Dlatego to redakcja „Wieczorów Rodzinnych” prosi raz po raz czytelników swo-

ich, aby nie wstydzieli się przesyłać drobnych, najdrobniejszych datków, bo z takich ziarenek powstają miarki.

Jadwinia tegoż samego dnia przysłała z mamą swoją do naszej redakcyi i opowiedziała to całe zdarzenie, które my tu dla przykładu i nauki reszty czytelników podajemy. Mamy nadzieję, że niejedno dobre dziecko poprosi matczkę o taką skarbonkę i przez rok cały wrzucać w nią będzie grosiki oszczędzone, a po roku przyniesie uzbierane pieniądze do naszej redakcyi dla biednych dzieci.

WAŃDZIA-ZAWADYKA.

— Moja mamo, coby też to kupić Wańdzi na imieniny? — pytał raz dwunastoletni Kazio, kochający bardzo młodszą siostrzyczkę, choć ta mała swawolnica dokuczała mu nieraz, przeszkadzając zwłaszcza gdy się uczył.

— Byle tylko coś pożytecznego — powiedziała mama i oboje zaczęli namyślać się nad tem kupnem. Sukieneczki i tym podobne rzeczy konieczne, Wańdzia dostaje bez imienin, książek i materiałów piśmiennych jeszcze nie potrzebuje i nie używa, chyba do wystrzygania albo na pukawki, lub do malowania wąsów śpiączek niańce i t. d. Lalkę Wańdzia ma, ale cisnęła ją w kąć a kupiła sobie sama idąc z ojcem koło sklepu konika na kiju, ma też Wańdzia i maleńki przybór do szycia dla lalek, ale wrzuciła go mamie do komody, a uprosiła u wujaszka lejce, w które niańkę zaprzęga. Cóż tu tedy kupić dla takiej swawolnicy?

Po długiej naradzie, mama z Kaziem zgodzili się, że najlepszy będzie taki podarunek, który da się zjeść, bo ten prawdopodobnie nie zmarnuje się u zdrowej jak ryba dziewczynki. Zatem idąc do szkoły uważał Kazio na wystawy cukiernicze i spostrzegłszy maluteczki ale wysoki, pyszny torcik, ślicznie ustrojony ze wspaniałą świątynią grecką na szczycie, a doskonałym grubym marcepanem za fundamenta, kupił go i cukierniczy chłopak przyniósł go do domu rano, a mama pochwaliła i schowała do szafy. Nazajutrz wypadły imieniny Wańdzi. Zaledwo więc dziewczynka obudziła się i zawołała:

— Nianiu! gdzie moje lejce? gdzie koń — ujrzała zamiast niańki Kazia, niosącego torcik piękny, jak cacko.

— Najdroższa swawolnico — rzekł Kazio — racz przyjąć ten tort w dniu twych imienin, wraz z serdecznym życzeniem, żebyś w nadchodzącym roku przestała być swawolnym chłopakiem, a zaczęła być grzeczną panienką.

Gdyby nie to serdeczne życzenie, podarunek byłby serdecznie przyjęty, ale życzenie nie podobało się małej, a że była jeszcze bardzo rozespana, zatem chwyciła podarunek w obie rączki, i rzuciła ze wszystkich sił o ziemię, mówiąc:

— Zjedz go sobie, dziękuję ci — i odwróciła się na drugi boczek do ściany.

Kazio ani pisnął, tylko podniósł gruby fundament tortu, który ocalał, gdy reszta potłukła się, zaniósł go do

jadalni, gdzie przy herbacie wszyscy zjedli go chwaląc, a Wańdzia płakała tymczasem w łóżku.

A. Z.

Zagadka odwrotna.

(Negus Abisynii).

Wprost dla myśliwych,
Łowcom dobrze wróży;
Wspak dla okrętów,
Do spoczynku służy,
Tam one bezpieczne
Nawet podczas burzy.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 52-go.

Łamigłówki zgłoskowej:

Kara — Rondel — Obligi — Kulig — Oaza — Duet — Yeddo — Luksor.

Krokodyl — Aligator.

Skrzynka do listów.

Wszystkim, którzy nam przysłali życzenia świąteczne i opłatki, serdecznie składamy podziękowania i nawzajem życzenia wszelkich pomyślności posyłamy.

Różyczka ukraińska może korespondować ze wszystkimi naszymi panienkami, od dziś zaliczamy ją do stałych korespondentek.

Poziomka kujawska i Owieczka tak przykładowie i przyjemnie spędziły Święta, że im tylko powinszować możemy. Pamiętać o ubogich, których się ma blisko, najpierwszym jest obowiązkiem i wcale nie mamy za złe kochanym dziewczątkom, że wołają własnymi rączkami jałmużny rozdawać.

Stokrotka z nad Stochodu odpowiedź na swoje pytania znajdzie w ostatnim liście Gołąbki pocztowej.

Baranek z nad Kodemy niesłusznie się wstydzi swojej kaligrafii, bo kto pisze czysto, dużemi i wyraźnemi literami, ten z pewnością z czasem ładne pismo mieć będzie.

Kuropatwa z nad Ikopetiu odezwała się przecież po długim milczeniu. Prawda, że to teraz mrozy i biedne kuropatwy milkną od zimna, lecz te, które mają ciepłe gniazdeczka, nie zapominają o uboższych siostrzyczkach, to też i kochana nasza Kuropatwka z nad Ikopetiu o nich pomyślała, za co jej dziękujemy serdecznie.

Ślizgawka będzie bardzo miłą korespondentką, bo wyraźnie pisze. Ubogie dzieci nie są wymyślne, wszystko im się przyda.

Młodą Staruszkę upewniamy, że wszystkie czytelniczki, czy dawniejsze, czy nowsze, są nam równie mile, a najmilsze te, które pomimo tak podeszłego wieku pozostają nam wierne.

Wielkopolance na Mazowszu dziękujemy za wiadomość, że jej się tak podoba powieść w „Imię koleżeństwa”. Po ukończeniu powieści ta wyjdzie w osobnej odbitce.

Śmietanka zawsze cel swój osiągnęła, jeśli robótka dostała się ubogiemu dziecku,

Cyganeczka z nad Wisły jeszcze się w tym roku pewnie ślizgawką nacieszy, bo na dużą zimę się zanosi. N-ra żądane odeślano powtórnie.

Szarą Myszkę z Siedlec, która raz przecież nieśmiałość przezwyciężyła, prosimy serdecznie, aby odtąd częściej pisywała i nie zrażała się króciutką dzisiajszą odpowiedzią, tyle bowiem w tych czasach liścików nadeszło, że chociaż z wielką radością je odcytujemy, dla braku miejsca musimy jaknajkrócej odpisywać.

Snieżycza i Krasnolica, stałe i miłe bardzo korespondentki, wybaczą nam na ten raz, że tylko w kilku wyrazach podziękujemy im serdecznie za pamięć.

Gajówka z nad Obry będzie zapewne równie wyrozumiałą, wyrozumiałość jest cechą prawdziwej przyjaźni.

Murzynka także do rzędu „wyrozumiałych” należeć powinna, bo w redakcyi do grona przyjaciółek jest zaliczona. Gołąbka pocztowa łamie głowę nad wymyśleniem dla Murzynki ślicznego nowego pseudonimu.

Lilijka niebieska, Begonia biała i Ruta długo zbierały się na liścik i w końcu ślicznie go napisały. Już sama ładna kaligrafia dobrze nas usposobiła, lecz więcej jeszcze pochwyciły za serce miłe i pocziwe słowa.

Koteczka biała ma słuszność, pilnujemy o ile można, aby nikt nie przybierał pseudonimów już wybranych, lecz czasem jak i tym razem ustrzedz się tego trudno.

Kukułka i Bocianiczka z nad Sanny ucieszyły bardzo panią B. wiadomością, że losy Amazysa tak gorąco je zajmowały.

Kotkowi z Podola przesyłamy całuska; a czy ten kotek ma pazurki?

Rosiczkę z nad Rowu upewniamy, że poprzedni jej liścik nie doszedł do redakcyi, dlatego też jedynie odpowiedzi nie otrzymała. Winszujemy Rosicdze ślicznej kaligrafii i radzimy, aby jaknajdłużej dużemi literkami pisała, bo nic tak nie psuje pisma, jak mażki.

Derkacz może także zechce się podpisywać „z nad Rowu”, bo mamy już dawnego korespondenta Derkacza.

Detyna coraz ładniej pisze, a widok takiej starannej kaligrafii wielką nam sprawia przyjemność.

Lisowi z Mazowsza pragnęliśmy dogodzić, bo tak ślicznie prosi; ale zamieszczanie nut w Pisemku jest z wielu względów niepodobieństwem i mało kto, oprócz Lisa, byłby z tego zadowolony.

Azaleę różową prosimy o odczytanie poprzedniej odpowiedzi.

Leszek Biały rzeczywiście zasłużył na podwójną odpowiedź, a tu, jak na toż, tak mało miejsca!.. Wynagrodzimy to innym razem, bo przecież spodziewamy się wkrótce znowu liściku. Bardzo przepraszamy szanownego brata, za mimowolne uchybienie jego poważnemu wiekowi; ale czyżby naprawdę ta powaga nie pozwalała mu napisać do tej, którą on przecież pierwszy nazwał „kochaną panią” dając tem przykład wszystkim korespondentom? Czyżby wiek sędziwy miał do tego stopnia zmieniać uczucia przyjaźni?

Wotynianka i Figlarka mogą być spokojne, że ofiary, przesyłane do redakcyi „Wieczorów”, dostają się prawdziwie potrzebującym. Wkrótce zamieścimy o tem sprawozdanie szczegółowe.

Blondynka z Cieszyna ucieszyła nas bardzo liścikiem, sądziliśmy, że o nas zapominała. N-r powtórnie wysłany. Łamigłówkę, jeżeli jest bez omyłek, zamieścimy.

Rezedkę z nad Kodemy i całą kochaną gromadkę jej rodzeństwa pozdrawiamy serdecznie.

Dumkę przepraszamy za zwłokę w odesłaniu nagrody, stało się to w skutek nieporozumienia, wzięto ją za inną panienkę, również nagrodzoną.

Muszka z nad Teterowa może zachować ten pseudonym, jest bardzo dobry i nikt go jeszcze nie wybrał. Prosimy tej Muszki kochanej, aby często nas miłym swoim brzęczeniem rozweselała.

Falę dniestrową przepraszamy za skrócenie liściku, ale gdy ich nadejdzie wielkie mnóstwo, z bólem serca obcinać je musimy.

Litwince z nad Niemenka zasyła pozdrowienie Halka z Litwy, donosi, że także nad Niemenkiem mieszka i może jest jej sąsiadką. **Dziurkę** pozdrawia Blondynka z Cieszyna, bo jej się pseudonym ten bardzo podobał. **Mołodycy ukraińskiej** dziękuje najserdeczniej za liścik Detyna, mieszkająca także na Ukrainie i prosi, aby o niej nie zapominał. Detyna ma lat 10, nazywa się Lina. **Grubulce** zasyła pozdrowienie Córa Mazurów, donosi, że ma lat 7 mieszka na wsi i jest także grubulką. **Lwa** pozdrawia przyjaźnie

Derkacz z nad Rowu, donosi, że ma lat 8 nazywa się Zbigniew. **Góraleczce** dziękuje za liścik Kukułka z nad Sanny, donosi, że się nie nazywa Helenka, tylko Manusia. **Bławatkę z nad Horynia i Topulkę srebrną** pozdrawia Koteczka biała **Gałązkę wrzosu z Pollesia** zapytuje Gajówka z nad Obry, czemu jej dotąd nie odpisała? **Konwalii białej** dziękuje za liścik Poziomka kujawska, donosi, że ma lat 13, nazywa się Helenka, uczy się w mieście, rodziców ma na wsi, a święta i wakacje do nich przyjeżdża. **Polskiej dziewczeczce** też samo donosi Owieczka, która ma lat 11 i nazywa się Mania. **Gwiazdeczce z nad Wilgi** dziękuje za pamięć Śmietanka i obiecuje zrobić jej pyszną koronkę dla lalki, bo się uczy tej roboty od siostry.

Kochane 3 Turkaweczki! Widzę z waszego liściku do „Wiechny” żeście nas poznały jak mieszkaliśmy naprzeciwko was, myśmy was też poznały, tylko myślałyśmy, żeście zapomniały o dawnych koleżankach z gimnastyki. Manusia pewno już pensją skończyła, doniescie mi też, moje drogie, w której klasie jest Władzia i Helcia? Całuję was wszystkie bardzo serdecznie i czekam odpowiedzi. Cyganeczka z nad Wisły. P. S. zdaje mi się że się domyślicie żem pseudonym zmieniła.

Kochanej Dzierlatce z nad Zharu serdecznie dziękujemy za pamięć o nas, przepraszając, że tak późno odpowiadam na jej miłą odeszwę. Z listu mamy wiemy niektóre szczegóły o Dzierlatce i jej braciszku. Mamy wielką radość, gdyż Bławatka z nad Horynia jest u nas. Bardzo nam jest miło, że dobry i kochany ptaszek nie zapomniał o nas, ja myślę często o spędzonych wakacyach z wami. Stokrotka polna biała.

Cyganeczce z nad Horynia, i Cyganeczce z nad Noska, posyła serdeczne uściśnienia Cyganeczka z nad Wisły.

Droga Prawdo! Nie domyślasz się zapewne kto jestem, gdyż się wcale nie znamy. Zdaje mi się, że twoja siostra nosi pseudonym Czekoladki, gdyż wiem że lubi przysmaczki. Do widzenia, droga Prawdo, twoja Azalea różowa.

Pegazie Skrzydlaty! Znamy się dobrze. Donieś mi co porabiasz? Twój Negus Abissynii.

Kochane Żabko z nad Smotrycza i Tłuścioszko! Bardzo was obie przepraszam, że tak późno wam odpisuję, ale przez kilka miesięcy byłam w drodze i trudno mi było pisać. Ja się bawię lalkami. Nic nie uszyłam na konkurs, bo źle szyję. Już kończę bo się boję, żeby redakcyja mego listu nie przyjęła, jakby był za długi. Ścisłam was, Grubula.

Kochana Iskierko z Siedlec! Pragnąc bardzo poznać się z tobą, chociaż za pomocą Wieczorów, opiszę ci moję osobkę, abyś zechciała ze mną korespondować. Mam dziewięć lat, jak na swój wiek jestem dosyć duża. Krótko przystrzyżone blond włosy czynią mnie podobną do chłopca, a siwe oczy pragnęłyby bardzo zobaczyć kiedyś nieznaną Iskierkę z Siedlec. Gdy jednak to jest niemożliwe, ponieważ mieszkam w guberni Płockiej, bądź tak dobra i napisz mi co o sobie. „Truskaweczka Ananasowa”.

DLA UBOGICH NA GWIAZDKĘ NADESŁALI:

W pieniądzach: Pani A. Gawrońska rs. 3. — Dzieci z Sułowca rs. 3. — Szarotka z Zakopanego z siostrzyczką rs. 1. — Młoda staruszka rs. 1. — Wielkopolanka na Mazowszu 15 kop. — Tadzio Z. kop. 50. — Koteczka biała rs. 1. — Brzózka z nad Skuczysy rs. 1. — Azalea różowa rs. 1. — Jaś M. rs. 1, kop. 30. — Broniś rs. 1. — Muszka z nad Teterowa rs. 1. — Brzózka, Czarnogłówka i Blondynka z nad Niemna rs. 3. — Fala dniestrowa rs. 1.

Ubrania i zabawki: Różyczka ukraińska. — Stokrotka z nad Stochodu. — 9 letnia Adelcia. — Kuropatka z nad Ikopetiu. — Dziewczynki S. z Kalisza. — Ostróżka i Różyczka polna — Sierotki dla sierotek. — Ślizgawka. — Reginka. — Młoda staruszka. — Tadzio Z. — Sarenka z nad Moroczcu, Topolka srebrna i Chmurka złocista.